

EXTRAKTY >> KSIĄŻKI

Niekończące się lato

tekst: Błażej Żułowski
foto: materiały prasowe

2 października 1966 roku, Ocean Beach, San Diego, Kalifornia. Mistrzostwa Świata w Surfingu. Ponad czterdzieści tysięcy widzów tłoczy się na plaży i na nowo otwartym molo. Osiemnastoletni Nat Young z dumą trzyma nad głową swoje mistrzowskie trofeum. W tym samym czasie już ponad trzysta czterdzieści tysięcy żołnierzy amerykańskich stacjonuje w Wietnamie. Brian Wilson z The Beach Boys za moment wyda hit *Good Vibrations*, a LSD będzie legalne jeszcze przez następne trzy miesiące. LeRoy Grannis, fotograf „International Surfing Magazine” stoi w tłumie zgromadzonym na plaży i z właściwym sobie dystansem uwiecznia te historyczne chwile w czerni i bieli swoim zniszczonym od soli Pentaxem S...

Grannis (surfingowy pseudonim „Granny”, czyli babcia) urodził się w 1917 roku, a ponieważ mieszkał w pobliżu oceanu, surfował od czternastego roku życia. Razem z kilkoma kumplami (Johnem „Doc” Ballem i Lewisem „Hoppy”

Swartsem) należał do tych pionierów surfingu z Hermosa Beach, którzy odkrywali miejscówki mające potem zyskać status kultowych. Pozbawiony był jednak większego talentu, w związku z czym nigdy nie było mu dane zostać zawodnikiem (w tamtych czasach nie istniał termin *pros* na określenie osoby utrzymującej się ze sportu, byli po prostu faceci, którzy startowali i wygrywali w zawodach). Gdy miał 22 lata, wybuchła II Wojna Światowa i większość młodych mężczyzn albo zgłosiła się, albo została wcielona do wojska. Ale zanim Grannis ukończył akademię lotniczą, wojna się skończyła. Z inżynierijnym wojskowym wykształceniem (pozostał w rezerwie do lat 60., zakończył karierę w stopniu majora), poszedł do pracy w Pacific Bell Telephones. Mieszkał nadal w pobliżu oceanu i surfował kiedy tylko miał trochę wolnego czasu. Ożenił się, urodziła mu się dwójka dzieci. I tak dochrapał się czterdziestu pięciu lat, kierowniczego stanowiska i wrzodu żołądka wielkości piłki do golfa. Dzięki temu ostatniemu zaczął swoją przygodę z fotografią. Lekarz doradził mu, żeby znalazł sobie relaksujące hobby. „Granny” złapał więc za aparat i poszedł w miejsce, w którym czuł się najlepiej, gdzie wszystkich znał i gdzie wszyscy znali jego, czyli na plaży przy 22. ulicy. Opaleni i jasnowłosi

surferzy, okiełznujący fale niczym półbogowie, zawsze byli wdzięcznym tematem do fotografowania i działali na masową wyobraźnię. Grannis był jednak bardziej zainteresowany czynnym uczestnictwem niż bierną obserwacją. Gdyby nie jego choroba, zostalibyśmy pozbawieni zapisu tamtych czasów, przepuszczonego przez niezwykle wrażliwość tego fotografa amatora, mającego wkrótce stać się profesjonalistą.

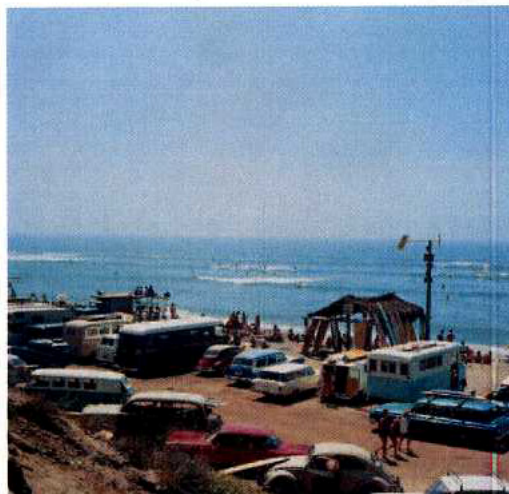
California dreamin

Zdjęcia Grannisa wyróżniały się przede wszystkim tym, że nie interesowały go tylko „akrobacje”, wykonywane na fali przez jego kolegów (takich jak Miki Dora, siostry Calhoun czy Mike Doyle), ale także cały surfingowy lifestyle. Jego prace dokumentują życie towarzyskie plaży, wyglępy, dramaty i plażową modę. Jednymi z jego pierwszych opublikowanych zdjęć, były zapakowane deskami samochody, wyremontowane klasyki z lat 30., które wtedy można było kupić za garść dolarów, pomalowane przez nowych blond właścicieli w jaskrawe kolory w ramach szybkiej renowacji. a także najpopularniejsze w surfingowym świecie, słynne kombi z drewnianą lakierowaną budą. Te fotki trafiły na pocztówki, w Stanach sprzedawane do dziś.

Z aparatem zaglądał do znanych warsztatów produkujących deski. Niektóre z nich, na przykład Surfboards by Dewey Weber, w ciągu następnych dwudziestu lat miały stać się wielkimi firmami, wartymi miliony dolarów, inne, takie jak firma Binga Copelanda, miały zniknąć. W ciągu kilku tygodni, od momentu odkrycia nowego hobby, „Granny” przerobił pół garażu swojego kalifornijskiego domu na ciemnię. W tamtych czasach był to najszybszy punkt wywoływania zdjęć na wybrzeżu, coś jak Kodak Express. Surferzy, którzy przed chwilą na falach, przyleżeli się do jego aparatu, oblegali teraz jego dom. Gdy LeRoy wychodził z ciemni, pod domem stało już trzydzieści osób gotowych przeanalizować osiągnięcia tego dnia, w tym swój własny styl, pod kątem tego, co mogliby w nim poprawić. Niektórzy nawet grzebali w śmietnikach, próbując znaleźć jakieś swoje zdjęcia, które Grannis odrzucił jako nieudane. Każdy jednak dostawał do swojej odbitki słynną, kultową nalepkę „Surf Photos by Grannis”, którą do tej pory, teraz już 90-letni (co dowodzi, że aktywne życie to recepta na długowieczność), fotograf, rozdaje każdemu kogo spotka.

Chłopcy z ferajny

Oczywiście LeRoy Grannis nie był jedynym fotografem surfingowym. W tamtych czasach wychodziły, na początku robione dosyć chałupniczą metodą, co najmniej trzy pisma poświęcone temu sportowi: „Surfer” (w trakcie wojny w Wietnamie w związku z brakiem zainteresowania samym sportem, stał się głównym piewą narkotykowej kultury surfingowej, głoszącej pokój, wolną miłość i prawo do solidnego naćpania się), „Surf Illustrated” i założony parę lat później przez LeRoy’a oraz przyszłego odzieżowego magnata Dicka Graham’a, „International Surfing”. Od początku istniało więc zapotrzebowanie na obrazki. Prócz „Granniego” na plaży działało niewielu fotografów, można ich było policzyć na palcach jednej ręki: Tom Blake (skonstruował



w 1929 roku jedno z pierwszych wodoszczelnych opakowań na aparat, by fotografować akcje „od środka”, z własnej deski), jego uczniowie „Doc” Ball i Don James – przyjaciele Grannisa, którzy wprowadzili go w arkana fotografii. Każdy kolejny fotograf witany był zatem z otwartymi ramionami, co zdecydowało o szybkim awansie „Granny’ego” z hobbysty na etatowego pismaka. Świat był wtedy oczywiście inny, życie toczyło się wolniejszym tempem, chłopcy więc, zamiast się zwalzać i wydzierać sobie pracę (na fotografii i tak nie dało się zarobić – LeRoy do emerytury pracował w Pacific Bell), pomagali sobie jak tylko mogli, podzrucając sobie nawzajem różne patenty, pomagając w konstruowaniu coraz lepszych modeli obudowy do fotografowania z wody (do czasu wynalazienia przez Jacques’a Cousteau Calypso-Phot, pierwowzoru dzisiejszego Nikonosa, który zakasował wszystkich, dowodząc wyższości europejskiej myśli technicznej).

Niezaprzeczalnie wodna tematyka

LeRoy stale eksperymentujący z nowymi formami, ujęciami fotografowanych obiektów oraz zamilowaniem do uwieczniania całej surfingowej otoczki, szybko przerósł swoich mistrzów. Bez profesjonalnego przygotowania zaczął robić fotografie reklamowe dla swoich przyjaciół, produkujących deski i ubrania dla surferów. Braki w technice nadrabiał świetnymi pomysłami. Do historii przeszły jego zdjęcia dla Jacobs Surfboards z surfującym w garniturze, meloniku i półbutach Ricky Hatchem. Na jego fotografiach bowiem widać nie tylko style czy triki, ale przede wszystkim ludzi oraz osobisty, ciepły stosunek fotografa do modeli (mówiąc językiem z *Rejsu* – filmu o niezaprzeczalnie wodnej tematyce). Oglądając wydany przez Taschen album, miałem wrażenie, że osobiście poznaję wszystkie uchwycone w nim postacie, obserwuję je w akcji i odpoczywające



– wszystko na przestrzeni dwóch dziesięcioleci. Dla nas, mieszkańców przyszłości, to przede wszystkim nostalgiczny zapis nieskomercjalizowanej ery czystego sportu uprawianego „dla zajawki”, czasu, który nigdy nie powróci. Zachowany w odbitkach niedoskonałych filmów o ciepłej dominancie, z nienasyconymi kolorami, lekkim ziarnem, przygaszonymi zieleniami, dużo bardziej interesującymi niż zyleta współczesnych slajdów czy cyfry. Zawsze urzeka mnie pozytywna naiwność powojennej Ameryki, samochody o kształtach inspirowanych lotnictwem, opalone twarze w najmłodniejszych w sezonie okularach Ray-Ban, model Original Wayfarer. Nawet czasy, które autor uważał za kryzysowe – hipisi wiecznie na dragach

z włosami do pasa, kontestujący wszystko dookoła – wydają się piękne i naiwne, z perspektywy świata dealów sponsorskich, w którym zawodnicy to trenowane przez marketingowców małpy-roboty, skonstruowane by osiągać jak najlepsze wyniki, a jednocześnie pozbawione wszelkiej osobowości marionetki obklejone w znaki firmowe, posługujące się jedynym słusznym językiem („Chciałbym podziękować moim sponsorom oraz trenerowi”). Moje ulubione zdjęcie to dwie osoby sfotografowane z góry, idące z deskami (pomarańczową i żółtą) przez Palos Verdes Cove. Jak na nie traficie, będziecie wiedzieć, o które mi chodzi. Chociaż, nie! To kłamstwo! Wszystkie zdjęcia w tym albumie są moimi ulubionymi. X

PS. LeRoy Grannis żyje, fotografuje i w miarę możliwości stara się surfować do dziś. W 1999 roku został wprowadzony do Huntington Beach Surfing Walk of Fame. Deska, której dziś używa, ma dziewięć stóp i sześć cali długości.

LeRoy Grannis
Surf Photography of the 1960's and 1970's
Taschen 2007

